

Wybór Donalda Tuska na kolejną kadencję przewodniczenia Radzie Unii Europejskiej stał się okazją do demonstracji nieustępliwości ze strony Warszawy oraz, jak to określiła Premier Beata Szydło, „walki o zasady w UE”. Demonstracja dotyczyła przede wszystkim sprzeciwu wobec ingerowania przez wysokich urzędników UE w wewnętrzne sprawy państwa członkowskiego, a zwłaszcza popierania krajowej opozycji w rywalizacji z rządem.

Zderzyły się tu zupełnie odmienne wizje integracji europejskiej i roli polityków w instytucjach europejskich wybieranych, dodajmy, przecież najczęściej spośród kandydatów wysuwanych przez państwa członkowskie. Czy mają oni być reprezentantami danego państwa i wspierać jego interesy na arenie europejskiej, czy też mają reprezentować przede wszystkim interes europejski? Czy reprezentowanie tego ogólnoeuropejskiego interesu upoważnia do włączania się w wewnętrzną rywalizację polityczną w jakimś państwie członkowskim? Polski rząd twardo bronił zasady, że minimalnym wymogiem urzędników brukselskich jest przynajmniej nieudziałanie na szkodę własnego państwa i interesów tego państwa, tak jak są one artykułowane przez legalnie wybrany, demokratyczny rząd.

Spięcie z ostatniego szczytu europejskiego powinno być więc przestrogą dla obu stron sporu. Donaldowi Tuskowi i innym politykom brukselskim powinno przynieść refleksję na temat tego, czy warto nadal ingerować w polskie spory polityczne, nawet wówczas, kiedy uznaje się, że jest to uzasadnione wartościami europejskimi. Ten spór bowiem może bardzo łatwo przelać się do samej Europy i przysporzyć kolejnych problemów, których w dobie rozlicznych napięć, kryzysów i zagrożeń zewnętrznych przecież nie brakuje UE.

[mc4wp_form id="84"]

Dla polityków polskiego rządu powinno być to z kolei nauczka, że każda demonstracja polityczna niesie także koszty i stratę energii. Czy nie lepiej skoncentrować skromne zasoby na sprawach priorytetowych, o których często wspominają politycy obozu rządowego? Takich jak, przykładowo, obrona dotychczasowych zasad obowiązujących na rynku wewnętrznym, przed zakusami ich zmiany w kierunku obniżającym konkurencyjność polskiej gospodarki? Może priorytetem powinna być nieustępliwa walka o dotychczasowe zasady w polityce spójności, która miała przede wszystkim rekompensować słabszym państwom UE otwarcie ich rynków na silną konkurencję z wyżej rozwiniętych i bogatszych państw członkowskich? Polityka ta nie miała zatem nigdy być ani elementem europejskiej solidarności, ani przetargiem w polityce migracyjnej. Czy takim polem

skoncentrowania polskich działań nie powinna być wreszcie obrona przed trwałą segmentacją polityczną w ramach tzw. Europy dwóch prędkości, która może skutkować marginalizacją Europy Środkowej? Myślę, że w tych wszystkich obszarach Polska może znaleźć wielu sojuszników, nie tylko w Europie Środkowej. Może również liczyć, jak się wydaje, na wsparcie ze strony samego Donalda Tuska. Warto to wykorzystać dla naszej korzyści i zamknąć póki co ten rozdział demonstracji w polityce europejskiej.

Przed polską dyplomacją stoją w najbliższym czasie cztery zadania związane z polityką europejską. Po pierwsze, od wielu tygodni polscy politycy sygnalizują własną propozycję reform UE, będących odpowiedzią na Brexit i rosnące niezadowolenie wielu społeczeństw z dotychczasowej integracji. W tej trudnej sytuacji, każde państwo ma prawo do proponowania takich zmian, nawet jeśli byłyby to postulaty obecnie mało popularne wśród innych członków Unii. Polska zmierza do zaproponowania m.in. zmian traktatowych, które mają oddać część unijnych kompetencji z powrotem do państw członkowskich, uporządkować podział zadań między wspólnotą a władzami narodowymi, czy zwiększyć podmiotowość parlamentów narodowych w polityce europejskiej. Należy zadbać by te propozycje były klarowne dla naszych partnerów i wewnętrznie spójne, a także dobrze odpowiadały na polskie potrzeby w polityce europejskiej. Nie zawsze bowiem zmiana instytucjonalna będzie służyła tylko polskiej dyplomacji; może być wykorzystywana także przez naszych partnerów zgodnie z ich własnymi, niekiedy odmiennymi interesami. Należy też pamiętać, że otwarcie dyskusji traktatowej może również wprowadzić zmiany pogłębiające różnice instytucjonalne między strefą euro a pozostałymi państwami UE, co zwiększy ryzyko trwałej segmentacji na dwa kręgi integracyjne.

Drugie zadanie to odpowiedź na propozycje reform, które są obecnie w największym stopniu przedmiotem negocjacji dotyczących przyszłości UE. Zakładają one postępy integracji w wybranych politykach europejskich, takich jak obronna, migracyjna, bezpieczeństwa wewnętrznego. Trzeba jasno wskazać, jakie są polskie warunki dla poparcia tych zmian, a także co przekreśla tego typu współdziałanie i oznacza wyłączenie z grona awangardy pogłębiającej integrację. Należy też mieć na uwadze, że dystansowanie się może oznaczać konieczność wyłączenia się z całych obszarów polityk europejskich, tak jak to ma obecnie miejsce w odniesieniu do strefy euro. Polska powinna również zabiegać, aby ewentualne zacieśnianie współpracy w poszczególnych reżimach politycznych pozostawało otwarte dla tych państw, które póki co nie zdecydowały się na dalsze postępy integracji.

Trzecie zadanie dotyczy spraw, które pozostają, jak się wydaje, interesem narodowym dla całej klasy politycznej w Polsce. Należy do nich zabieganie o jak najbardziej korzystne wyniki rozpoczynających się właśnie negocjacji nad przyszłym kształtem nowej perspektywy finansowej UE. Podobną kwestią jest obrona swobód na rynku wewnętrznym, zarówno w wymiarze przepływu usług i osób, jak również ograniczania wszystkich tych regulacji, które mogłyby skutkować obniżeniem konkurencyjności polskiej gospodarki, czego jednym z przejawów jest dążenie do harmonizacji podatkowej w UE.

Czwarte zadanie dotyczy kształtowania najbardziej korzystnych dla naszego kraju wyników negocjacji między UE a Wielką Brytanią w sprawie Brexitu. Zwykle podnosi się kwestię statusu obywateli UE pracujących na Wyspach, albo partycypacji Brytyjczyków w budżecie unijnym. Są to sprawy istotne z naszego punktu widzenia, ale dużo ważniejsze, w mojej opinii, jest zbudowanie platformy dla przyszłych relacji między byłym państwem członkowskim a wspólnotą. Tym bardziej, że nie można wykluczyć, że także inne państwa mogą pójść śladem Brytyjczyków. W dyskusji na ten temat pojawiła się koncepcja partnerstwa kontynentalnego, przedstawiona w zeszłym roku przez znany *think-tank* Bruegel. Zmierza ona przede wszystkim do tego, aby zapewnić dostęp byłego członka Unii do rynku wewnętrznego, a także powiązać to z udziałem w niektórych politykach UE, które bezpośrednio wiążą się z tym rynkiem. Dotyczy to m.in. udziału takiego państwa z jednej strony w finansowaniu budżetu unijnego, a z drugiej w korzyściach wynikających z wybranych polityk redystrybucyjnych (np. spójności, innowacyjnej, rolnej). Co wydaje się jednak najważniejsze, partnerstwo ma w założeniach zapewnić wpływ decyzyjny w ramach instytucji międzyrządowych na przyszłe regulacje dotyczące rynku wewnętrznego. Ponadto, partnerstwo mogłoby stać się forum uzgadniania stanowisk w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa.

Wszystkie te zadania wymagają nie tylko przemyślanej strategii, ale również odpowiedniej taktyki działania. Przede wszystkim dotyczy to pozyskiwania sojuszników w polityce europejskiej, a także uważnego posługiwania się demonstracją, najlepiej ograniczając stosowanie tego środka do spraw absolutnie najważniejszych.